

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela 5 sierpnia 1951 r.

Nr 28

Czego szukamy?

Czy pamiętacie to krótkie, małe zdanie Pisma Świętego? — „Jezus, obróciwszy się, ujrzał dwóch uczniów, którzy szli za nim i zapytał: „Czego szukacie?”

Byli to Andrzej i Jan, odtąd, od pierwszego dnia apostolstwa Jezusa, nieodłączni Jego współpracownicy, uczniowie i przyjaciele.

Nie o nich jednak będziemy mówić w tej chwili. Mówić będziemy o nas. Pytanie Chrystusowe — „Czego szukacie?” — niech odnosi się w tej chwili do każdego z nas. Zresztą nie tylko w tej chwili, ale zawsze, nieodłącznie od każdej chwili naszego życia. To pytanie bowiem właśnie temu życiu naszemu nadaje istotną, pełną treść. Oczywiście, o ile pytanie to właściwie rozumiemy i konsekwentnie to zrozumienie w naszym życiu realizujemy.

Ktoś kiedyś określił treść istotną życia ludzkiego w ciągłym szukaniu i znajdowaniu. Człowiek ciągle szuka, ciągle znajduje, a jednak nigdy nie jest w pełni nasycony, zawsze odczuwa nadal jakiś brak. Nie chodzi tu, oczywiście, o treści materialne. Chodzi o treści duchowe. Brak nam jest nasyceń, Brak pełnego, całkowitego znalezienia. Zawsze szukamy. I tutaj, na ziemi, nie znajdziemy nigdzie. Wiara nasza wyraźnie mówi, że pełne znalezienie szczęścia, zaspokojenie wszystkich niepokojów duszy znajdziemy dopiero, o ileśmy na to zasłużyli, na tamtym świecie, wtedy, gdy Boga twarzą w twarz oglądać będziemy.

Oto wyjaśnienie zagadki, dlaczego człowiek szuka stale, zawsze i nigdy pełni na ziemi znaleźć nie może. Nie dadzą jej treści materialne, nie da sztuka. Da je dopiero przyszłość, o jakiej wiemy niewiele ponad to, że będzie taka, o jakiej tu nawet marzyć nie śmiemy.

Tak — spyta ktoś — ale przecie Andrzeja i Jana Jezus tu na ziemi spytał, czego szukają. Szukali Mesjasza. Znaleźli Go, bo mieli szczęście żyć w czasach, gdy On żył, bo byli tymi najdoskonalszymi, którzy godni byli, by Mu towarzyszyć i dzieło Jego dalej prowadzić.

Znaleźli Mesjasza. Ale czy tym samym znaleźli wszystko?

Marcel Legaut w swoim przepięknym dziele „Modlitwa wierzącego” pisze tak w pewnym miejscu:

„Dusza, która znalazła Cię, Panie, w porwywie dobrej woli oddaje Ci się na własność i sądzi, że wszystko uczyniła... A potem dopiero, powoli odkrywa głębię Twojej Miłości i jednocześnie poznaje rozległą skalę wymagań, jakie ta Miłość stawia.”

To, że Andrzej i Jan znaleźli Mesjasza, że poszli za Nim, jeszcze nie było pełnym znalezieniem. Bo pełne znalezienie zaczyna się z chwilą, gdy odpowiemy swym postępowaniem w pełni tym wymaganiom, jakie Miłość Boża stawia przed nami. Życiem swym musieli apostołowie udowodnić głębię swojej miłości.

A cóż dopiero my? Wielu wśród nas jest takich, którzy nawet Mesjasza znaleźć nie umieją, nie rozumieją Go, znać nie chcą, zapierają się. Wielu jest znów takich, którzy wprawdzie Mesjasza znaleźli, znają Go i dumni są z tego, ale którzy nie umieją nadać znajomości tej treści istotnych. Bo mało uwierzyć w Boga, mało głosić Jego chwałę — trzeba również iść za Nim. Trzeba Go wciąż, stale, co dnia znajdować w sobie, w swych czynach, postępowaniu, w Miłości.

Jakże mało jest wśród nas takich, którzy tą Miłością potrafią znaleźć i wcielić w czyn. Przeważnie żyjemy z dala od tej Miłości, boimy się jej, bo jest za trudna, bo wymaga za wiele ofiar i wyrzeczeń. Zostaw wszystko i pójść za Mną — tak wzywał Chrystus. A nam tak trudno zostawić wszystko i iść za Nim, iść za Jego Miłością. Nam tak miłe są nasze grzeszki, nasze przyzwyczajenia, nasze zawieści i wady. Tak jesteśmy związani z tym światem drobiazgów błahych i pustych dokoła nas, że nie mamy siły, nie mamy woli i pełnego zrozumienia tej Miłości, która nam każe iść za Sobą, bo daje nam wszystko!

(Dokończenie na str. 252)

PANNO MOŻNA



CZYNNA MIŁOŚĆ

W przyćmionej sali szpitalnej słychać chrypliwe oddechy, śpiących chorych. Słychać też stłumione jęki i bezsenne przewracanie się na łóżkach.

Noc. Jakże długa i nieprzespana jest noc dla ciężko chorych!

Wszystkie cierpienia tak duszy jak i ciała o wiele łatwiej jest znosić w biały, jasny, słoneczny dzień.

Istnieje jeszcze nadzieja ratunku, są ludzie, może być pomoc, może być lekarz, a nawet ostatnia nadzieja człowieka konającego — Bóg — może łatwiej być osiągalny w dzień.

Noc jest straszna!

W mrokach sali czai się strach, chorym majaczy się śmierć, która zda się cicho się skrada do niebronionego łóża, aby kościstą ręką dotknąć spoconego czoła...

Zaschnięte od gorączki usta pragną pić. Oczy pragną widzieć zdrowego człowieka, uszy pragną usłyszeć dobrego, kojącego głos niosący słowa otuchy i nadziei, że zaraz będzie dzień, że przyjdzie lekarz i że zdrowie wróci...

Cicho uchylają się drzwi do sali...

Bezszelestnie wsuwa się postać ludzka. Białe skrzydła kornetu oceniają twarz, zdają się one choremu niby skrzydła anielskie.

Czego szukamy?

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Dlatego ciągle, dlatego stale, nieskończenie musimy szukać. Dlatego ratuje nas tylko nieskończone Miłosierdzie Boże, które nam brak tej prawdziwej Miłości wybacza. Dlatego zawsze odczuwamy pustkę i niedosyt, dlatego nic nie daje nam pełnego zadowolenia, nic nie jest kresem naszych pragnień i naszego szukania.

Trudna jest Miłość Boża. Trudniejszą jeszcze niż znalezienie Boga. Bo znaleźć Boga, to jeszcze nie to samo, co w pełni Mu służyć. Znalezienie Boga to dopiero początek. Gdy się znajdzie Go, trzeba konsekwentnie iść za Jego Miłością. A to tak niewiele tylko potrafi! I znów nie my miłość Bożą, ale Ona nas znajduje, gdy łaskawie, z pełną dobrocią spogląda na niedoskonałość tych, którzy Go znają, ale którzy tak mało Go miłują.

„Czego szukacie?” — pytał Jezus.

Ciebie szukamy, Chryste. Szukamy Cię w sobie, szukamy w nas samych, w naszych sercach i duszach. Wiemy, jak musi Cię boleć, że tak mało Ciebie w tych sercach i duszach znajdują!

Ciebie szukamy, Chryste! Twej Miłości szukamy, Chryste!

Dopomóż nam w naszym szukaniu. Sami za słabi jesteśmy, za nadto zaprzędani grzechowi i małostkom, za mało rozumiejący Istotę Twoją. Za mało rozumiejący, czym jest Miłość Twoja.

Czego szukamy?

Ciebie szukamy, Miłości Boża, w sobie szukamy. Czy znajdziemy ją jednak właśnie w sobie?

Tak, bo jakież sens, jakież cel miałyby ofiara Twoja na krzyżu, gdybyśmy Ciebie, gdybyśmy Miłości Twojej w sobie znaleźć nie mogli?

Ty nam tylko w szukaniu naszym dopomóż!

Bo Ciebie szukamy, Chryste!!!

Łagodne ręce poprawiają poduszkę, ocierają pot, podają lekarstwo, wyrównują koc, aby nie uraził.

Najcichszym szeptem mówią, że gorączka spada, że coraz mniej boli, że trzeba usnąć spokojnie, bo sen powróci siły...

Nad każdym łóżkiem pochylają się białe skrzydła kornetu, łagodne ręce pełnią swoją

powinność i po chwili gdy już każdy bezsenny dotąd chory zobaczył, że nie jest sam, usłyszał, że powinien usnąć, bo zdrowie wymaga snu, gdy wypili kojące lekarstwo — cisza ogarnia salę.

Milkną jęki, ucicha skrzypienie łóżek, chorzy zapadają w sen.

Biała postać Siostry Miłosierdzia przesuwa się po sali i czuwa...

Na małych krzeselkach, przy stolikach również małych siedzą drobne figurki dzieci i pracują...

— Co to za praca?

— O, nie mała!

Dzieci budują, tworzą, ustawiają. Powstają przed każdym dzieckiem domy, ogródki, pałace, płoty... Mali budowniczości przejeżdżają aż różowe języczki wywiesili na brody.

Czasem rozlegnie się krzyk, to brak materiału, to ktoś zabrał drzewko! — Spiesz się wóczas na pomoc siostra Emilia. Pochyla białe kornet nad stolikiem, daje co potrzeba, czasem podeprze walący się dom...

Gdy dzieci mają dość budowania — siostra organizuje gry i zabawy, wyprowadza dzieci na spacer i wycieczki.

Siostra Emilia jest uśmiechnięta i łagodna. Z niezmordowaną cierpliwością odpowiada na wszystkie zapytania. Czuwa jak matka i może lepiej jak matka, nie ma bowiem innych trosk ważniejszych od funkcji, które pełni.

Siostra uczy, śpiewa, bawi się i tańczy z dziećmi, stara się stworzyć dzieciom w godzinach kiedy się nimi zajmuje, szczęśliwe, jasne dzieciństwo. Otwiera dzieciom oczy i serduszką, napenia je miłością jak rosą kwiaty...

W mrocznej nicości, do której słońce dociera w pewnych tylko godzinach dnia — kaplicy, krząta się siostra.

Białe kornet pochyla się przed ołtarzem, zwinne ręce coś nakrywają, ustawiają, przesuwały...

Oczy siostry Anny bacznie oglądają kaplicę, ołtarz, półeczki... Oczy siostry Anny z troską śledzą brak kwiatów, lub zniszczone kwiaty na ołtarzu. Jej to zmartwienie. Muszą być kwiaty, trzeba żeby były piękne. Czasem trudno o nie. Ludzie w trosce o siebie, często zapominają o Bogu.

Drobna rzecz kwiaty, a siostra Anna martwi się. Gdy jej ma, z jaką radością rozstawia bukiety, wnosi podstawki...

Inne jeszcze prace, liczne prace ma siostra Anna. Wszystkie spełnia z uśmiechem na twarzy.

Praca bowiem traktowana jest przez siostry Szarytki ze Zgromadzenia św. Wincetego a Paulo, jako największa radość, jako jeden z ważnych celów życia.

Każdą pracę spełniają z radością i dziękują za nią Bogu.

PRZECZYTAJ I ZASTANÓW SIĘ...

„Praca jest uświęcona, zgodnie z chrześcijańskim światopoglądem przede wszystkim dlatego, że jest najskuteczniejszą drogą do świętości. Świadczą o tym liczni święci ludzie pracy, starożytni i nowocześni, kanonizowani lub błogosławieni. Uświęcona jest także praca dla chrześcijanina dlatego, że będąc nakazaną przez Boga może być nazwana służbą Bożą.”

EWANGELIA

NA NIEDZIELĘ DWUNASTĄ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Sw. Łukasz 10, 23—37)

Onego czasu: rzekł Jezus uczniom swoim: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bóg powiedział wam, że wielu proroków i królów chciało widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli.

O oto pewien błądzący w Zakonie powstał doświadczając Go i rzekł: Nauczycielu, co mam czynić, abym osiągnął życie wieczne? A On rzekł do niego: W Prawie co napisano? jako czytasz? A on odpowiadając rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego twego jak siebie samego (Powt. Pr. 6, 5). Rzekł mu: Dobrześ odpowiedział. Czyń to a będziesz żył. On zaś, chcąc się usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest moim bliźnim? Jezus zaś, podejmując pytanie, rzekł: Człowiek pewien zstępował z Jeruzolimy do Jerycha i wpadł między złoczyńców, którzy go też złupili i rany zadawszy odeszli, zostawiając na pół umarłego. I zdarzyło się, że kapłan pewien zstępował tą drogą i ujrawszy go, minął. Także i lewita, będąc blisko miejsca i widząc go, minął. A Samarytanin pewien, zdrażając drogą, przechodził obok niego i ujrawszy go użalił się nad nim.

I przybliżywszy się zawiązał rany jego, nalewając oliwy i wina, posadził go na swoje juczne zwierzę i zawiązał do gospody, i pielegnował go. A nazajutrz wyjął dwa denary i wręczył je właścicielowi gospody, mówiąc: Miej nad nim pieczę, a cokolwiek ponad to wydasz, ja, gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zdaje ci się być bliźnim tego, co wpadł między złoczyńców? A on rzekł: Ten, który mu miłosierdzie okazał. I rzekł mu Jezus: Idź, a czyń i ty podobnie.

LEKCJA

NA NIEDZIELĘ DWUNASTĄ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(2 Do Koryntian 3, 4—9)

Bracia: ufność taką mamy przez Chrystusa ku Bogu. Nie jakobyśmy zdolni byli pomyśleć co sami z siebie, jako z siebie, ale zdolność nasza z Boga jest. On też uzdolnił nas, abyśmy się stali sługami nowego Przymierza, nie według litery, ale według Ducha: bo litera zabija, a Duch ożywia. A jeśli posługa śmierci, wyrzuta literami na kamieniach, była w takiej chwale, że synowie Izraela nie mogli patrzeć na twarz Mojżeszową dla jasności oblicza jego, która zniknęła miała, jakoż więcej posługa Ducha będzie w chwale. Albowiem jeśli chwała jest posługa potępienia, daleko bardziej w chwałę obfitować będzie posługa sprawiedliwości.

U proboszcza w Ars

Markiz Armand-Louis de Dardilly, szambelan obalonego przez rewolucję 1830 roku króla Francji Karola X, nie miał zamiaru towarzyszyć Burbonom na wygnanie, ani też prosić o łaskę Orleanów. Po prostu nudiło go życie, którego nie miał czym wypełnić. Jedyne jego syny Gaston-Louis, kadet szkoły królewskiej w St. Cyr, zginął w pojedynku o honor króla z kolegą swoim, bonapartystą. Żona jego, dama dworu, na wieść o śmierci jedynaka otruła się z rozpaczy. Markiz de Dardilly nie miał odtąd nikogo na świecie prócz starego króla. Ale teraz trójbarwny sztandar rewolucji powalił białą flagę Burbonów.

Ruina stary świat, który go wychował, a nowe idee nie przemawiały już do jego umysłu. Postanowił udać się do swoich dóbr na północ od Lyonu, a gdyby te — jak się obawiał — uległy konfiskacie, zamierzał prosić o schronienie któregoś z tamtejszych proboszczów.

Mimo niemłodych lat podróz z Paryża odbywał konno i w przebraniu, unikając spotkania z gwardią narodową w większych miastach. Dotarłszy do Lyonu, udał się do pałacu biskupiego, by zasięgnąć wieści, czy żyje jeszcze ów proboszcz z Ecully, którego z młodości pamiętał. Ale wikariusz generalny nie był chętny wzięcie markiza, będącego bankrutem politycznym, człowiekiem z innych czasów. Odpowiedział mu zatem krótko:

— Nie, tamten proboszcz nie żyje! Ale jeśli nie lęka się pan zły bardzo i grzaski po deszczach drogi, proszę pojechać do Ars, gdzie jest proboszczem jego wychowanek i uczeń, ksiądz Jan Baptysta Vianney. Ten przyjmie każdego włóczęgę.

Mimo wyraźnej przymówki do siebie, a także wskazówki, że ksiądz Vianney nie cieszy się wielkim uznaniem u swoich przełożonych, markiz tym chętniej zgodził się jechać do Ars. Ostatecznie był w tej chwili włóczęgą, którego dekret Ludwika-Filipa mógł pozbawić dachu nad głową i skazać na opuszczenie Francji. Zła droga mogła być dobrą ochroną przed ewentualnym pościgiem, a proboszcz o złej opinii u biskupa budził w tych warunkach raczej zaufanie.

Armand-Louis nie wstępował nawet do swego zamczku w Dardilly, gdzie mógł już urządzać komisarz orleański, lecz brnął przez wyboiste, rozmiękłe od deszczów drogi polne ku najbardziej zapadłemu zakątkowi Francji. Znużony i bez siły prawie, na znużonym koniu, dotarł wreszcie do górskiej wioszczyny tak ubogiej, jakiej w życiu jeszcze nie widział. Na odcieście od światła płaskowyżu Dombes ujrzał skupienie siedemdziesięciu nędznych, słomą krytych chat. To było Ars.

Już miał zwrócić konia ku kościołowi, gdzie spodziewał się znaleźć plebanie, gdy wytoczył się przed niego jakiś baryłowaty mężczyzna. Przyszybyły oczy taksowały fachowo przybysza.

Wasza wielmożność pewnie do spowiedzi? — zapytał dość natrętnie. — Ksiądz proboszcz dziś nie ma czasu. Proszę do mojej oberży!

Markiz oburzył się gwałtownie, że go jakiś obwieś mógł wziąć za kandydata do spowiedzi. Jako wolterianin z wychowania, nie uznawał praktyk religijnych! Czyż po przejeździe pół Francji, by w takiej dziurze szukać spowiednika?

— Nie twoja to rzecz! — warknął z góry na oberżystę. — Tam, gdzie mi trzeba, znajdę swoją drogę.

— Tu się do kogo innego nie przyjeżdża — nie dał się stropić oberżysta — bo tu same ciemne chłopcy. A proboszcz teraz wazsza wielmożność nie zastanie, bo on nawet na plebanii nie sypia, odkąd ją dziewczkom odstąpił.

— Dziewkom odstąpił? — zdumiał się markiz.

— Ano dziewczkom! Takim, co to — wiadomo. Nazbierał je z całej okolicy i teraz nawracać chce. Na plebanii je umieścił, póki im domu sam nie wybuduje.

— A tom wpadł, sacre-bleu! — pomyślał Armand-Louis, przypominając sobie ironiczne słowa wikariusza generalnego w Lyonie. — Na kpiny mnie tu przysłano.

Zmęczony uciążliwą podróżą i zrezygnowany, dał się zaprowadzić do oberży. Było to drewniane parterowe domostwo z pięterkiem, które jeszcze wykańczano. Gdy oddawszy konia, chciał markiz wejść do wnętrza, zauważył oparty o ścianę szyld, który miał być dopiero powieszony. Na szyldzie był napis: „Oberża pod proboszczem“.

— Skąd ta nazwa? — zapytał.

— Żeby przyjezdni, którzy do naszego proboszcza na spowiedź przybywają wiedzieli, gdzie mają się zatrzymać! — odpowiedział chytrze oberżysta.

— Dzielicie się zarobkami?

— Nasz proboszcz i — zarobek? To wasza wielmożność naprawdę musi być z daleka. Przecież on nawet na sutannę nie zarobił, bo wszystko, co gdzieś u bogaczy uprosi, ubogim w Ars rozdaje. Mnie nawet przed kilku laty pozbawił tu zarobku, że wieś tę opuścić musiałem.

— Jak to? — zaciekawił się markiz.

— Miałem tu karczmę — tłumaczył rozmowny grubas — i trunki różne sprzedawałem. Interes szedł znakomicie, bo wszyscy chłopcy pili. Cóż, kiedy ks. Vianney oduczył ich picia. Sam nie pojmuje, jak on to zrobił. Wkrótce potem za przykładem Ars poszły wsie okoliczne. Musiałem zwinąć interes i uciekać do Dardilly.

— Do Dard...? — ugryzł się w język Armand-Louis, by nie zdradzić swego incognito. — Poszedłeś tam rozpijać pańskich parobków?

— Oni już byli rozpici, tak podłe mieli tam życie. Nie miałem sumienia powiększać ich nędzy. Coś i we mnie się odmieniło. Kiedyś usłyszał, że do księdza Vianney jak do świętego z dalszych nawet okolic ludzie do spowiedzi ciągną, postanowiłem wrócić i dom zajezdny dla penitentów zbudować. Bez trunków żadnych — prócz wina. Myślę, że mogę odbić sobie na proboszczu, com przedtem na nim stracił. Dlatego nazwałem ten dom „Oberża pod Proboszczem“. Nie będzie mógł przeciw temu protestować.

Markiza nie wzruszyła dola jego własnych parobków. Zaintrygowana go natomiast tajemnicza postać proboszcza, który tyle ruchu narobił w okolicy. Odpocząwszy nieco i posiliwszy się w oberży, ruszył w kierunku plebanii.

Gdy szedł wyboistą drogą wzdłuż chat, na jego widok wylazły kobiety i zarosnięte twarze chłopów, a dzieci wybiegały, żeby obejrzeć go z bliska.

— Znow jeden grzesznik do spowiedzi! — słyszał za sobą raz po raz.

Byłby z rozkoszą za tego „grzesznika“ przejechał kogoś łaską po grzbiecie, tak, jak ojcowie jego chłopów bili przed rewolucją. Cóż, kiedy nie był tu panem, który by miał takie prawo. Demonstracyjnie ominął otwarty kościół, nie uchyłwszy przed nim

kapelusza. Znalazł się przed ubożuchnym probostwem, które niewiele od chat chłopskich się różniło. Wzdrygnął się na ten widok. Czyżby on, szambelan królewski, wśród tej nędzy miał szukać schronienia?

Wszedł do wnętrza. Zastał tam kilka dziewcząt, zajętych łataniem bielizny i chłopskiej odzieży.

— Acha, to te dziewczki! — przypomniał sobie słowa oberżysty.

— Nie ma tu księdza proboszcza? — zapytał głośno.

— Nie ma! — kilka par oczu spojrzało na niego badawczo.

— Ale przyjdzie?

— Przyjdzie, bo jeszcze ma drzewo rąbać do kuchni! — odpowiedziała jedna z nich.

— To on drzewo rąba? — zdumiał się Armand-Louis. — Czy nie ma nikogo do pomocy? Gdzież jest kościelny?

— Nie ma kościelnego. Ksiądz sam z ministrantami sprząta kościół.

Markiz nie mógł tego słuchać. Wyszedł z probostwa i stanął na placu.

— Wariat! — pomyślał. — Do wariata się wybrałem.

Wtem podbiegł ku niemu mały, bosy chłopak.

— Pan pewnie do księdza proboszcza? — zapytał rezolutnie. — Ja pana zaprowadzę. Markiz był bez celu, więc rzucił chłopcu miedziaka i dał się poprowadzić. Po pięciu minutach zaszli na miejsce, gdzie budował się dom — przytułek dla upadłych dziewcząt.

Przy podmurówce pracował jeden tylko człowiek o szpakowatych, na kark spadających włosach. Był w niebieskim fartuchu, koszulę zawinał do łokci i wprawna ręką dopasowywał zwieszające kamienie, obrzucając je z zaprawą z wapna i piasku. O parę kroków za nim, z gałęzi drzewa zwisała zniszczona sutanna. Na pierwszy rzut oka poznał markiz, że ma przed sobą proboszcza Jana Baptystę Vianney we własnej osobie.

— Tak właśnie pracować może tylko wariat! — pomyślał i zaczął szukać w pamięci jakiegoś pozdrowienia chrześcijańskiego, odpowiedniego dla osoby duchownej. Nie znalazł jednak żadnego.

— Dobry wieczór, l'abbé! — rzekł, uchyłając kapelusza, gdy chłopak się oddalił.

Ręka z kielnią zatrzymała się, a markiz ujrzał jasną twarz, która promieniała dobrocią jak słońce.

— Jestem Armand-Louis de Dardilly! Przybywam tu z Paryża, lecz nie do spowiedzi — uprzedzam, drogi l'abbé!

Ksiądz wytarł ręce w swój murarski fartuch, zdjął go i szybko przywdział sutannę. Następnie położył na podmurówce deskę i poprosił markiza, by usiadł:

— Oto ławka, na jaką mnie stać! W parku w Dardilly były piękniejsze.

— Ksiądz zna ten park? — zdziwił się królewski szambelan.

— Znam bardzo dobrze! Sam ławki w nim stawiałem, ścieżki gracałem. Byłem przecież parobkiem u ojca waszego, markizie!

— Co? — mowę odjęło Armandowi? Straszliwy obraz z przeszłości stanął mu przed oczyma. Parobcy jego ojca, mszcząc się za straszną dolę, do gwardii narodowej wstąpili, zamek siłą zajęli, a dziedzica Dardilly do Lyonu pojmanego zawieźli, gdzie gilotyną ścięty został.

Ks. Vianney przeniknął widocznie myśli markiza, bo rzekł spokojnie:

— Nie, ja w tym rak nie maczałem. Nie byłem w gwardji. Jeśli jednak za nimi tak-że do Lyonu pobiegłem, to jedynie po to, by modlić się za duszę pana, który bez spowiedzi świętej miał umrzeć.

Markiz odetchnął, lecz jednocześnie uczył, że ten osobliwy ksiądz zajrzał w głąb jego duszy.

Tak się zaczęła rozmowa tych dwóch dalekich sobie ludzi, których los zetknął ze sobą w młodości w cieniu gilotyiny. Wstrząsnęła ona markizem, choć nie trwała długo, bo ksiądz spieszył do kościoła.

Szli potem razem. Na tej krótkiej drodze poznał markiz, kim jest ten proboszcz dla swoich parafian. Z każdej chaty, którą mijali, wychodzili mężczyźni, kobiety i dzieci. Zbliżali się do niego z czcią i zaufaniem bezbrzeżnym, jak do ukochanego ojca. Jedna z kobiet podeszła z radosną nowiną, że się ocielila jej krowa, druga zaśliła się, że jej kot zagryzł dwoje kurcząt. Jeden z chłopów radził się, czy lepiej kupić wieprza czy kozę. To znów podeszło dwóch skłóconych sąsia-

dów, by ksiądz rozstrzygnął ich spór. On zaś słuchał wszystkiego, udzielał rad, przemawiał do dziecka, na które skarżyła się matka, przyrzekał odwiedzić chorego, wyśtarac się o pieniądze na zakup ziarna do siewu. Ścisłał wyciągnięte dłonie, głaskał dzieci po głowach. Każde jego słowo przyjmowane było z niezachwianą wiarą.

Już był zachód, kiedy dotarli do kościoła. Wszedł pierwszy, nie czekając, aż markiz się namyśli, co zrobić ze swoją wolteriańską niewiarą.

Armand-Louis stanął przed bramą (szolomiony objawami miłości prostego ludu względem swojego pasterza. Dla niego — pana z panów feudalnych — ten lud był tylko bydlęciem roboczym. Za swoją dole mścił się gilotyń. Panowie de Dardilly ślali nienawiść, i zbierali jego owoce. Dla księdza, który z ludu wyszedł, byli to bracia najbliżsi, więc im służył. Miłość ślali i dlatego miłość zbierał. Dlatego też ksiądz Vianney ma po co żyć na świecie, a on — dziedzic dóbr feudalnych i królewski szambelan — jest rozbitkiem bez dachu nad głową.

W poczuciu swej klęski zdjął kapelusz i wszedł do kościoła. Mała wiejska świątynia była prawie pusta. Jedyne konfesjonał, w którym zasiadł proboszcz, był obleżony z dwu stron.

Markiz nie modlił się bo nie umiał. Przeglądał się tylko ludziom, którzy odchodzili od spowiedzi. Wszyscy mieli jasne i szczęśliwe twarze, bo brzemień grzechów zostało z nich zdjęte.

Gdy pomyślał o sobie, poczuł ciężar win całego życia, z których dotąd nikomu nie zdawał sprawy. Co by dał, żeby czuć się tak lekko jak tamci.

— To nie wariat, lecz czarodziej! — podziwiał ją ksiądz. — Skąd on ma na to tyle sił i czasu?

Pod silnym wrażeniem osoby proboszcza z Ars wrócił markiz do oberży. Noc całą spędził na czynieniu rachunku ze swojego życia.

Nazajutrz wstał z postanowieniem: poprosi księdza Vianney, by go przygotował do spowiedzi. Do pierwszej spowiedzi w życiu.

Z N I W A

Słońce paliło mocno. Ale nie było parno. Raczej rzeźkość jakaś wisiała w powietrzu, napelniała płuca tężyzną, sprawiała, że oddech był czystszy i lżejszy. Lekki, łagodny wietrzyk poruszał koronami drzew przydrożnych, kładł fałd żółknące za rowem łany zboża, niósł jakieś zapachy, jedyne, swoiste...

Gdzieś z głębi żytznego łąnu rozległ się głos kuropatwy. Na szosie z dala zaturkotał wóz, rozległo się czyjeś nawoływanie. Zmącona na chwilę cisza południowej godziny uspokajała się znów, jakby do taktu myślowo kroczącego z małą walizką w ręku człowieka.

Był jeszcze młody, twarz miał pogodną, ale kilku brudami zaznaczyły się na niej dawne przejścia. Znać było po nich, że człowiek ten wiele kiedyś musiał przecierpieć.

Teraz jednak na obliczu jego raz po raz gościł nieśmiały, pełen rozmarzenia uśmiech. Kroczył powoli brzegiem szosy, walizkę przekładając z ręki do ręki, spojrzeniem błędził dookoła.

Od szosy odchodziła w bok zwykła droga wiejska. Podróżny wszedł na nią i za chwilę powyżej pasa zakryły go falujące łany zboża. Wtedy przystanął, walizkę postawił u nóg, sam nachylił twarz nad kłosami ocieplającymi zbożem, dłońmi łagodnie nakłonił kilka z nich do policzków. Z jakimś pełnym rozkoszy dreszczem poddawał się szorpatemu ich muskaniu. Oczy mu zwilgotniały... Potem wziął kilka kłosów w rękę, głazł je pieszczotliwie, wreszcie zamruczał coś do siebie. Westchnął, wyprostował się, pełną piersią zacerpnął oddechu. Ni stąd ni zowąd roześmiał się, głośno, szczerze. Zerwał jeden kłos, przez moment ważył go w dłoni, ostrożnie wyłuskiwał ziarno po ziarnku, jakby bojąc się, by nie uronić żadnego. Puste już źdźbło odrzucił na bok, rozwarł szeroka, sekata, pełną stwardniałych odcisków dłoń, spoglądał na lekko wilgotne, polyskujące ziarno. Wreszcie podniósł dłoń i zarzucając nieco w tył głowę, wysypał ziarno do rozwartych szeroko ust. Jaki, młaskal głośno.

Zasłabł się jeszcze raz głośno, serdecznie. Podniósł walizkę, ruszył w dalszą drogę.

Nadal śledził uważnie wszystko dokoła, ale szedł teraz szybko, coraz szybciej, krokiem mocnym, sprężystym.

Przypominał sobie, jaki dzień miał dzisiaj. Tak, to był już wtorek.

— Hm, to już parę dni tylko zostało... Ale Józef pisał, że dopiero po żniwach. A tu jeszcze zboże stoi nietknięte kosą?...

W tejże samej chwili, gdy to pomyślał, doszło go charakterystyczne, tak dobrze znane z dzieciństwa ostrzenie kosy o podreczną osetkę. Spojrzał w bok: nieco przed siebie. Tak, tam już koszone zboże.

— To żniwiarze zgarniają polosy... Zaw sze kosy tak brzęczą. Nie omylił się Józef. Żniwa w pełni. A tam, przy szosie, było nieco niżej, zboże jeszcze nie dojrzało zupełnie. Za parę dni dopiero, może nawet i tydzień.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Dawno tak nie chodził. Ale teraz śpieszył do brata, chciał go już ujrzyć jak naiprzedaj. Z czterech dwóch ich tylko no tej wojnie zostało. Tamtych zgładzili hitlerowcy... Józef zapraszał go teraz na ślub. Miał się odbyć w najbliższą niedzielę, jak pisał — zaraz po żniwach...

Dwa lata nie widział już brata. Nie miał czasu po prostu, by wyjechać na wieś. Był zbrojarzem, pracował w Warszawie. Oba poprzednie urlopy nie wyjeżdżał nigdzie, zrezygnował nawet z czasów. Chodził w tym czasie na kursy. Pragnął zdobyć dyplom technika. Kierownictwo dawało zdolnym robotnikom wszelkie warunki. Dla zdolnych i chętnych droga do przyszłości była naderlece otwarta...

Uśmiechnął się szeroko, całą gębą.

A to się dopiero Józef ucieszy i zadziwi, że przyjechał tak wcześnie. A co dopiero, gdy mu powie, że w tym roku postanowił skorzystać z urlopu i spędzić u niego, w rodzinnej wsi, całe dwa tygodnie! Egzamina miał już za sobą. Jeszcze jakiś czas praktyki, jeden egzamin końcowy i technikum wieczorowe będzie miał za sobą. Na leżał mu się odpoczynek. A gdzie go spędzić, jak nie na starych, rodzinnych śmieciach. Miał osiemnaście lat, gdy od nich odszedł. Od tego czasu rzadko tutaj zaglądał. Nieraz tęsknił tak strasznie.

Droga teraz rozwidlała się. U rozstaju stał zmurszały nieco krzyż. Łagodnie spoglądała w dół niezgrabnie, ale z jakimś

przejmującym wyrazem słodczy wyrzeżana z drzewa przez domorosłego artystę twarz Chrystusa. Jan na moment przystanął, przyjrzał się tej twarzy, uchylił czapki. U stóp krzyża leżało narecze polnych kwiatów, położonych tutaj troskliwą ręką.

Nie szedł już teraz, a prawie biegł. Parło go do swoich bliskich, do chaty rodzinnej. Za zakretem pokazały się już domy, długim szeregim ciągnące się nad rzeką. Ale oto bliżej ujrzał brata. Kosił. I on i dwaj jeszcze żniwiarze, równo kładący obok siebie pokosy stali do niego odwróceniem tyłem. Nie widzieli go również dziewczęta wiążące snopy wprawnymi ruchami rąk.

Poznał już z daleka. To był Józef wraz z ojcem. Trzeciego mężczyzny nie znał. Kobieta też nie rozpoznawał.

Zwolnił nieco kroku, szedł cicho na pole, skradł się ku koszącym. Chciał ich zaskoczyć. Na pół drogi stała wetknięta w ziemię kosa. Obok na snopku leżała osetka. Przystanął, coś mu widać zaświtało w głowie, uśmiechnął się bowiem nieco szelmowsko. Postawił walizkę na ziemi, zrzucił marynarkę, zakasał rękawy, podciągnął w górę nogawki u spodni, krzepko uchwycił kosę w garść.

— Żeby tylko nie zauważyli — zamruczał do siebie. Szedł cicho, skradając się jak kot. Oczy uważnie wpatrywały się w piątkę ludzi tuż przed nim.

— O licha — zaklął.

Jedna z dziewczyn na chwilę rozprostowała grzbiet, przeciągnęła ramiona. Objeżdżała się wtedy do tyłu, dojrzała Jana. Twarz jej przyoblesła się wyrazem zdziwienia. Dojrzała dorodną, zgrzaną twarz. Kosmyk włosów igrał z wiatrem nad czołem.

Prędko położył palec na ustach. Bał się, że to jednak nie wiele pomoże. Nie wstrzyma, wykrzyknie, wskaże go tamtym. Cały kawał na nie.

Nabrał sympatii dla dziewczyny, gdy zrozumiała go, dyskretnie skinęła głową w porozumiewawczym znaku. I zaraz potem, aby nie zwrócić niczyjej uwagi, pochylała się znowu nad snopem.

— Mądra baba — pomyślał Jan z uznaniem. — Ciekawym, kto to taki, co za jedna?

Więcej nie zastanawiał się. Przystanął za ostatnim żniwiarzem, rozkraczył się, zamachnął kosą. Zboże z szelestem poddało się ostrzu. Na ten nowy szelest trzech żniwiarze odwrócili się jakby na komendę. Jeden za krzyknął głośno, radośnie:

(Dokończenie na str. 258)

W zakładzie dla najnieszczęśliwszych

Autobus pedzacy z Warszawy wśród pyłu i spiekoty słońca zatrzymał się. Jesteśmy w Laskach. Wsiadam. Jestem ogromnie ciekaw zakładu dla ociemniałych. Tyle pięknych rzeczy nasłuchałem się o nim. Dawno chciałem oglądać na własne oczy to wszystko; co mi opowiadano. Wreszcie znalazła się sposobność. Idę w kierunku zakładu. Droga idzie lasem sosnowym. Jest tu ogromnie cicho. Tą cichosć prawem kontrastu powiększa fakt, iż się wyjechało ze zgiełku stolicy.

Niedaleko od ciszy wśród drzew pojawiają się pierwsze domy. To już zakład dla ociemniałych. Całość składa się z szeregu budynków większych i mniejszych, rozrzuconych w lesie. Pachnie tu żywicą drzew. Nazwa Laski, chyba wywodzi się od tego lasu. Ale mniejsza o nią. Wchodzimy w świat najnieszczęśliwszych istot ludzkich, w świat dzieci ciemnych, pozbawionych jasności słońca i kolorów świata.

KAPLICA ZAKŁADOWA

Wchodzącemu w Laski rzuca się przede wszystkim w oczy kaplica zakładowa. Jest bardzo oryginalna. Stanowi z lasem sosnowym, wśród którego stoi jakby całość, jest jakby jego częścią składową. Wyrasta z lasu sosnowego, cała zrobiona jest z sosen niekorowanych. Wewnątrz zamiast filarów stoją grube niekorowane pnie sosnowe, trzymające na swych barkach ciężar budynku. Całość jest niesłychanie prosta i nieskomplikowana. Robi jednak dziwne wrażenie i ma w sobie swoiste piękno i czar, jakiego próżno szukać gdzieindziej.

Dobrze się tu modlić. W tej prostej kaplicy, jak rzadko gdzie czuje się bliskość Boga. Nie dziwię się, że tak często jada tu ludzie z Warszawy. Nietylko by zwiedzić zakład. Jadą także, aby się w Laskach pomodlić, aby duszę zmęczoną hałasem, wrzawą i rozgwarem stolicy zbliżyć do Boga. Którego obecność mocniej w Laskach się wyczuwa. Laski mają w Warszawie swoich wielkich przyjaciół, zagorzałych przyjaciół. Moglibyśmy przytoczyć wiele nazwisk głośnych i znanych, które do Lasek jadą się modlić.

W kaplicy zakładowej w Laskach odprawiałem nawet Mszę św. Służyli mi do Mszy św. dwaj całkiem ciemni ministranci. Wielu widzącym ministrantom mógłbym ich podać za wzór. Pełnili wszystkie czynności ministrantów: przenosili Mszal, podawali wodę i wino, dzwonili. Ktoś z nimi stojący, ktoby ich nie znał, nie mógłby powiedzieć, że ci chłopcy są ciemni, nie widzą dosłownie niczego.

SAME DZIWIY

Krok za krokiem zwiedzam Laski. Muszę ograniczać się ze względu na ciasność miejsca w Tygodniku. Wspominam tylko to i owo.



Kaplica Zakładowa
w Laskach

Co krok dziwy. Sądziłem, że zobaczę miejsce przytłaczające najstrasliwszym kalectwem, jakie spotkać może człowieka. Sądziłem, że znajdę w zakładzie dzieci smutne i przytłoczone ciężarem kalectwa. Sądziłem. Spotkało mnie bardzo miłe rozczarowanie. Zakład robi wrażenie jednego z najbardziej radosnych. Dzieci i młodzież zakładu biega z sobą prawie nie wyczuwając kalectwa. Tu wszyscy wychowankowie ciemni. Ciemni od urodzenia, nie wiedzą co jest jasność i barwy, ociemniiali w późniejszym życiu zapominają o nich w otoczeniu ciemnych.

Te same dzieci i ta sama młodzież w innych okolicznościach, w innych środowiskach byłoby bardzo nieszczęśliwi. Tu nikt im nie wytyka ich kalectwa, tu wśród podobnych sobie będąc, nie odczuwają jego grozy. Stoi ono niejako za nimi, w oddali. Dzięki temu, poprostu zapominają o swojej ślepotcie.

W Laskach rozbrzmiewa dużo pieśni. Wychowankowie Lasek lubią pieśń. A jak śpiewają. Warto posłuchać. Zwiedzam siódma klasę, dziewczynki. Na pożegnanie śpiewają mi pieśń jedną, drugą i trzecią. Jestem pełen uznania. Co za głosy. Dziewczynki wyczuwają, że śpiew ich podoba się gościowi. Sprawia im to wielką radość. One lubią się popisać. One takie są dumne, że mimo swego kalectwa mogą coś wykonać i wykonać dobrze. Są bardzo miłe. Wiele wśród nich ma piękne, wdzięczne twarzyczki. Tylko nie patrzeć na ich biedne nieszczęśliwe oczy. Robi się człowiekowi niedobrze, gdy spojrzy w te przyciasne oczy w twarzy pełnej młodości i życia.

Rozmawiam z nimi dłuższą chwilę. Poruszam najrozmaitsze tematy. Dają odpowiedzi rożgarnięte, rozumne, mądre. Dużo umieją. Poziom wiedzy wydaje mi się o wiele wyższy aniżeli w tej samej klasie wśród widzających. Zegnam je najcieplejszymi słowami.

PRZEDSZKOLE

W Laskach jest przedszkole. Są w nim bardzo małe dzieci, chłopaczki i dziewczynki. Oczywiście wszystko ciemne. Dziewczynki w przedszkolu dosłownie oblepiły się gośćmi. Wieszają się na ramionach i szyl. Ponieważ wszyscy obcy podchodzą do nich z sercem, mają do wszystkich zaufanie i podbiegają do nich śmiało. Poznają od razu, że jestem księdzem. Siostra przedszkolanka pokazuje, co dzieci potrafią. Ćwiczy z nimi właśnie jakieś przedstawienie. Dziewczynki biegają pomiędzy sobą, jakby widziały. Żadna nie zderzyła się z sobą ani razu. Nawet tańczą. Domyślałem się, ile trudu, wysiłku i pracy musi włożyć siostra, nim ble-

dne dzieci dojdą do tej wielkiej swobody ruchu.

Oczywista dzieci bawią się wiele. Mają tu rozliczne zabawki. Do bardzo miłych zabawek należy huśtawka. Jest to jedna z najbardziej ulubionych zabaw niewidomego dziecka. Długie chwile potrafi czekać cierpliwie małeństwo na swoją kolejną huśtania się. Są bardzo zadowolone, gdy dopadną tej ulubionej zabawy.

No, ale idziemy i do chłopców. Otaczają mnie kołem. Mają humor. Właśnie ma być podwieczorek. Małe „Rafalki” tak się nazywa grupa, z którą jestem w domu, w którym mieszkają, zapraszają mnie na podwieczorek. Pochwytały mnie za rękę i wiedzą, o oporze ani myśleć. Humor mają doskonały, co chwila salwy śmiechu. Apetyt im dopisuje także. Piją mleko, a chleb znikają ogromnie szybko.

Skończyli. Teraz wyżywają się w zabawie. Chłopaki, jak chłopaki. Mocują się, baraszkują. Dwóch już nie pamiętam imion, jawi się z rozciągającym harmoniami. Zaczyna się gra. Co to za gra. Graja z pełnym rozmachem, grają nietylko rękami, ale głową, całą osobą. Ci malcy już całkiem spokojnie mogliby zarobić na swoje utrzymanie. Grają jak starzy. Inni na chwilę stanęli. Słuchają. Podoba im się gra, więc dalej w tany. Już tańczą wszyscy z rozmachem w koło, parami. Któryś z malców bierze mnie do tańca. Ha, jak taniec to taniec. Idę w tan, z roześmianą buzią dzieciaczka, szczęśliwego, że tańczy z księdzem.

Mają zabawki. Jest na szafie przepiękny miś. Biorę go do ręki, oglądam. Staje przy mnie małe i pyta:



Zabawa w piasku.



Nauka czytania.

- Proszę księdza, czy on ładny?
- Bardzo ładny.
- Po czym poznajesz?
- Jest z wierzchu bardzo mięciutki.

Miedzy malcami jest Tazio, bardzo miły chłopaczek. Nazywają go „pan doktor”, bo kiedyś na przedstawieniu grał rolę doktora, co leczył żabkę. „Pana doktora” spotykam pod kaplicą. Biorę go na spacer. Idzie z radością. Stawiam mu różne pytania, odpowiedzi są nadzwyczajne. Ten chłopak liczy pięć, czy sześć lat. Pytam go o treść kazania, jakie słyszał na nieszporach. Zdumiewam się, gdy mi opowiada całe kazanie ujęte krótko, ale jak rzeczowo. Pytam o poranne kazanie na Mszy (była niedziela). Tazio z całą łatwością powtarza treść drugiego kazania. Istne dziwy. „Pan doktor” jest nadzwyczajny.

CZYTAJĄCE PALCE

W Laskach jest także 7-mio klasowa szkoła podstawowa. Materiał biorą ten sam, co we wszystkich szkołach w kraju. Uczą się wszystkich przedmiotów. Czytelnika najbardziej będzie interesowało jak czytają ociemniałe dzieci. Nie mają oczu, ale mają bardzo subtelne, czujące palce. Czy za pomocą palców. Czytają przeto palcami i piszą palcami, rozwiązują zadania matematyczne palcami. U nich palce są cudowne i bezcenne. W połączeniu ze słuchem, palce muszą zastąpić brak oczu. I we wielu, wielu sprawach udaje się to doskonale. Mają specjalny swój alfabet brailowski. Polega on na tym, że w suwadelku naładowym znajduje się prostokącik i rameczka. Pod suwadelko wkłada się papier, do ręki bierze się coś w rodzaju szydełka, wkłada się jego koniec w prostokącik i robi się dziureczki w papierze. Cztery dziureczki na rogach rameczki wyczuć łatwo ponadto są w pionowych jego liniach dwa małe wcięcia, które szydełko bez trudu wyszuka. Kombinacja sześciu dziurek daje cały alfabet. Na papierze pod naciśnięciem szydełka powstaje mały otwór, a z drugiej jego strony wypukłość, które subtelne palce bez trudu wyczuwają. I cała tajemnica czytających palców rozwiązana.

Czy czytają płynnie,

Robiłem egzamin z kilku dziećmi z różnych klas. Gdybym nie wiedział, że dziecko jest ciemne, nie dowiedziałbym się tego z czytania. Czytają całkiem gładko i równo, biegle, a nawet bardzo biegle.

W ten sposób dla tych ciemnych istot ludzkich udostępnił się bogaty świat myśli



Niewidoma dziewczynka czyta książkę.



Piszące ręce niewidomego chłopca.

ludzkiej i czarowny świat książki. Oczywiście trzeba im te książki dać. Jest jednakże cała spora biblioteka brailowska w języku polskim. Wiele ofiarnych pań przepisuje systemem brailowskim całe książki dla ociemniałych. Mają arcydzieła literatury polskiej. Czytają Sienkiewicza, Mickiewicza, mają podręczniki.

Dzieci uczą się w szkole doskonale. Ze szkoły wynoszą może nawet więcej niż dzieci widzące, gdyż w czasie lekcji nic ich nie rozprasza, niczego nie widzą. Słuchanie mówiącego nauczyciela, otwiera przed nimi przepały świat, którego nie znają, a który pragną poznać, więc słuchają ze skupieniem i uwagą.

MODELOWANIE. GRA NA FORTEPIANIE

Najbardziej zdumiony byłem wyczynami widzących palców niewidomych dzieci. Rysunku nauczyć się nie mogą, do tego potrzeba wzroku. Uczą się natomiast modelowania. Subelnymi palcami obejrzą najpierw wzór, następnie odtwarzają go w plastelinie. Oni w ogóle najlepsze pojęcie mają w tym, co dotkną palcami. To co potrafią zrobić z plasteliny wprost zdumiewa. Mam widzące oczy, żebym rok robił różne rzeczy nie zrobiłbym tak, jak robią oni. Zrobią wszystko: zabawki, zwierzęta, itd., a wszystko co oglądałem, to poprostu „majster-szyki”.

Cudowne są te palce niewidzących.

A gra na fortepianie. Ociemniałe dzieci czytają palcami, malcy ćwiczą na instrumentach i grają.

PRZEDSTAWIENIA

W zakładzie w Laskach jest specjalna piękna sala na występy sceniczne. Laski ociemniałe nierzadko dają przedstawienia na które tak chętnie przyjeżdżają ludzie z Warszawy, by wyjechać z pełnią podziwu i zdumienia. Opowiadał mi jeden z pisarzy polskich swoje wrażenia z takiego przedstawienia w Laskach. Był oczarowany. Nie dziwię mu się bynajmniej.

WŁASNE GRZĄDKI

A własne grządki ociemniałych dzieci? Lubią mieć te swoje własne grządki. Uprawiają je z rozkoszą. Co za radość wyrwać własną rzodkiewkę, marchewkę, pomidora. Z takim trudem przez długie tygodnie subtelne palce dziecka otaczały roślinkę opieką, zrywały chwasty, podlewały, stwierdzały przybycie nowego listka, badały rozwijający się pączek kwiatu. Jak czuwać musiały, by nie pomieszać hodowanej roślinki z chwastem.

Lubią te swoje grządki.

SZKOŁA ZAWODOWA

Laski nie tylko opiekują się ociemniałymi, nie tylko dają im podstawowe wykształcenie. Laski także uczą zawodów, aby ka-lece dać możliwość zarobku na swoje życie, by nie był ciężarem innych. Uczą się różnych rzeczy. Doskonale rozwija się szczer-karstwo. Umieją obsługiwać maszynę trykotarską, robią sweterki, skarpety, szaliki. Wyuczają się na masażystów.

Warto popatrzeć jak pięknie pracują.

Z Lasek wychodzą ludzie wartościowi. Mężczyźni zwykle zakładają rodziny. Niektórzy nawet biorą za żony ładne dziewczęta. Mają dzieci i potrafią żonom i dzieciom dać utrzymanie.

KOŃCZYM

Wartość Lasek dla społeczeństwa jest olbrzymia. Z biednych kalek, z istot nieszczęśliwych, skazanych na łaskawy chleb, a jakże ciężki jest ten łaskawy chleb, wychodzą ludzie przygotowani do życia i umiejący sobie dać radę w życiu. Misja Lasek jest wielką misją, którą społeczeństwo powinno poprzeć miłością i ofiarnością. O Laskach powinien ogół wiedzieć, aby najniebezpieczniejszych tam kierować. A kierować trzeba w jak najmłodszym wieku. Im prędzej dziecko tam się dostanie, tym większą odniesie korzyść.

Autobus mknie w kierunku Warszawy. Za nami Laski. Wyjeżdża się z wrażeniem, że się widziało coś wielkiego, ważnego i Bożego.

Teresa Przanowska.

LIPY

Lipy stały w kwiecie jak w miodnej ulewie,
Sypie się złoty pyłek z pszczelich, wątlých nówek.
Wiatr wygrywa piosenki na lipowym drzewie
Kołysząc dobrotliwie liście, kwiatów stróż.
Lipy, drzewiny Boże, złote i pachnące
Niosące swój dank kornie, ochotnie i szczerze,
Prężące się pod słońcem pieszczotą gorącą
I w ciemny wieczór ciche szepczące pacierze.
Lipa piastowska, polska, wspomnień z lat — ogniwo,

Niegdyś sadzona ręką bohatera sławną,
Pod którą Kochanowski schylał głowę siwą
Pisząc ból swego serca, ongiś, bardzo dawno.





DEKANAT GORZÓW

Ks. Redaktor dokucza Grzybowskiemu: pisz jak najwięcej o każdej parafii, napisz o niej wszystko, ale tak, żeby nie zajęło wiele miejsca, bo chciałbym, aby o każdej parafii z diecezji coś napisać w Tygodniku, a tych parafii u nas tak dużo, Tygodnik zaś niewiele ma miejsca.

Dobrze się mówi: Grzybowski pisz siak i tak. I dobrze i mądrze i wszystko i o wszystkich, na dodatek, żeby jeszcze miejsca nie zajęło i żeby się nikt nie krzywił.

Żeby zadowolić, dzisiaj napiszę coś niecoś o całym dekanacie gorzowskim.

Zaczynamy oczywiście od Gorzowa.

GORZÓW — KATEDRA

Centralnym kościołem Gorzowa jest katedra. Parafia ołbrzymia, bo liczy do 30 tys. dusz. Księży do obsługi trzech. Dziekanem dekanatu i proboszczem katedry jest ks. Stanisław Klimm. Pomagają mu w pracy księża: Józef Wańkowski, Skarga katedralny i Jan Pawlik, młody i zany księżyna. Pracy mają wiele. We trójkę obsłużyć wszystkich ludzi, to przecież nie są żarty. Jest jej zawsze wiele, a w niektórych okresach, jak np. we Wielkim Poście, opadają im ręce ze znużenia.

Sama katedra nie ma w sobie nic szczególniejszego. Gotyk z XIV wieku. Po przejęciu jej w polskie ręce poczyniono wiele wkładów. W ostatnim Wielkim Poście sprawiono Drogę Krzyżową, dzieło sztuki. Wnętrze katedry gorzowskiej prosi się o odmalowanie. Ale to jeszcze pieśń przyszłości. Duże nabożeństwo mają ludzie do obrazu Matki Boskiej Rokitniańskiej, umieszczonego w bocznym ołtarzu.

Praca duszpasterska w katedrze rozwija się z roku na rok coraz piękniej. W ostatnim poście było aż sześć serii rokołek stanowych. Mają parafianie w niektóre dni trudności ze spowiedzią. Brak księży.

GORZÓW — PARAFIA ŚW. KRZYŻA

Prowadzą ją OO. Kapucyni. Liczebnie najmniejsza parafia gorzowska. Duszy liczy około 4.000. Największą ulicą tej parafii jest ulica Warszawska. Ojców jest trzech. Proboszczem jest O. Dr Kwieciński. Poza obsługą kościoła parafialnego mają Ojcowie wyjazdy w teren. Na terenie parafii tuż przy kościele znajdują się gmachy Dużego Seminarium Duchownego, chluby i nadziei diecezji.

Z utęsknieniem i nadzieją wielką spoglądają w stronę tych gmachów, gdzie do wielkiej Bożej służby gotują się nowe zastępy kapłańskie, wychowywane i kształcone z

wielkim oddaniem się przez księży Misjonarzy. Wierni w kościele św. Krzyża już nieraz słyszeli kazania kleryków z wyższych kursów. Ojciec proboszcz z wielkim uznaniem mówił nam o kazaniach majowych, które w bieżącym roku w całości głosili alumnii, opowiadał, że słuchało się ich z przyjemnością i jest nadzieją, że w rozległe tereny diecezji wylecą kiedyś jak młode orły, pełne rozmachu, poświęcenia i ofiarności dla Boga i Polski.

Praca w kościele OO. Kapucynów idzie drogami utartymi w kościele.

Kościół św. Krzyża jest kościołem katolickim, jedynym z czasów niemieckich w Gorzowie i w szerokiej okolicy. Parafia św. Krzyża była terenowo za czasów niemieckich bardzo rozległa. Tereny wokół były w masie protestanckie.

Wojna nie zniszczyła kościoła parafialnego. Jest to świątynia piękna tak zewnątrz jak i wewnątrz. Ma pełne urządzenia katolickiej świątyni. Jest to najpiękniejszy kościół w Gorzowie.

GORZÓW — PARAFIA CHRYSTUSA KRÓLA

Prowadzą ją OO. Oblaci. Duszy około 9.500. Księży do obsługi dwóch. Proboszczem jest ksiądz Gembia i ksiądz Pluszczyk.

Parafia rozpracowana. Życie religijne tętni żywo. Udział wiernych w sakramentach bardzo liczny. Cechą szczególniejszą tej parafii jest wielka opieka nad młodzieżą.

Ks. proboszcz Gembia oddany jest pracy bez reszty. Nigdy nie ma chwili czasu. Dzień w dzień ciągnie Pańskie jarzmo. Ludzie garną się do kościoła bardzo, licznie.

Co roku są rekolekcje. We większe święta ks. proboszcz urządza szczególnie uroczyste nabożeństwa, zapraszając obcych księży i chór Małego Seminarium Duchownego.

Kościół Chrystusa Króla jest oryginalny i piękny. Ma ładną wysoką wieżę z daleka widoczną, jest okrągły, ale stosunkowo nieduży, co w praktyce jest niewygodne. Ludziom jest trochę za ciasno. Bardzo pojemny jest chór w kościele, ławki są w nim zbudowane amfiteatralnie. W głównym ołtarzu jest piękny obraz Chrystusa Króla, dzieło Gogolewskiej. Niedawno zawisł w kościele duży obraz św. Józefa.

GORZÓW — PARAFIA ŚW. JÓZEFA

Przy ul. Brackiej w zaciszu, pięknie położony jest niewielki kościółek św. Józefa. Objęli go OO. Oblaci wraz z domem obok. Dom również piękny. Przed kościółkiem wiele drzew i zieleni. Doskonały jest ten kościółek na rekolekcje. Ojcowie przy ulicy Brackiej stanowią grupę misyjną. Stąd wyjeżdżają na misje i rekolekcje w diecezję. Prawie cały Boży rok jeżdżą z miejsca na miejsce głosić ludowi Boga. W przerwach między misjami dla odpoczynku dla nabrania sił do bardzo ciężkiej pracy misyjnej przyjeżdżają do Gorzowa na Bracką.

Proboszczem nowoutworzonej parafii jest ks. Wróbel O. M. I.

GORZÓW — KAPLICA PRZY ULICY MIESZKA

Przy ul. Mieszka jest kaplica SS. Szarytek. Leży na terytorium parafii przy katedrze. Nabożeństwa odprawiają tutaj księża profesorowie z Dużego Semin. Duchownego. Kaplica pomieści do 400 osób. Każdej niedzieli są tutaj nabożeństwa jak w kościele parafialnym. Księża profesorowie z oddaniem obsługują kaplicę.

KAPLICA SERCA JEZUSOWEGO

Na terenie parafii przy katedrze jest jeszcze druga kaplica Najśłodszego Serca Pana Jezusa. Jest na skraju miasta. Przerobiona jest z domu mieszkalnego na kaplicę. Wnę-

trze jest pięknie urządzone staraniem ks. mgr. Stefana Ceptowskiego, referenta Kurii. Kaplica skupia na nabożeństwach wiernych z najbliższych ulic. Niedawno postawiono w niej ołtarz nowy. Kaplica jest bardzo miła, a dzielnica, w której leży jest piękna zwłaszcza na wiosnę, gdy jest dużo zieleni.

NIŻSZE SEMINARIUM DUCHOWNE

Dla całości konieczną jest rzeczą przy omawianiu Gorzowa wspomnieć o Niższym Seminarium Duchown. przy ul. Łokietka 17. Gmach powstał ze złączenia trzech kamienic. Gwarno tu zawsze i wesoło. Często dolatują w sąsiednie ulice miasta melodie muzyki i śpiewu. Tu kształtuje się młodzież w zakresie średniego wykształcenia, mająca zamiary oddać się w przyszłości kapłańskiej służbie Boga.

Rektorem Niższego Seminarium jest ks. Wujda Jan. Zna go Gorzów jako kaznodzieję, często widuje się go przy występach chóru i orkiestry dętej Seminarium.

O dalszych parafiach dekanatu gorzowskiego napiszemy w następnym numerze Tygodnika Katolickiego. (G)

BYŁEM W GORAJU

Zaciągnął mnie do Goraju ksiądz, mój dobry znajomy.

Po śmierci proboszcza w Goraju obsługuje osieroconą parafię dojeżdżając pociągiem na każdą niedzielę i każde święto.

Namawia mnie do jazdy:

— Jedź Grzybusz, włóczęga jesteś, lubisz się włóczyć po świecie. Zobaczysz Goraj i jak zechcesz, napiszesz coś po tym do Tygodnika.

Mnie ta wiele namawiać nie trzeba. Jadę z przyjaciółmi do Goraju. Przyjaciel jest dla mnie łaskawy, pozwala mi nawet trzymać na moich kolanach walizkę swoją, bo trochę ciasno, a wiezie sporo rzeczy kościelnych. Dostałem za to kilka cukierków, które ze smakiem zjadłem. W drodze torebka z cukierkami dostała się bliżej mnie i w Goraju była już pusta.

Po drodze wstąpiliśmy do Rokitna, pokłoniliśmy się Matce Boskiej i jechać dalej.

Zapomniałem napisać, że w Goraju miał być odpust.

Kościół w Goraju niewielki. Stara budowla. Ściana lewa kościoła ma specjalne podpórki wzmacniające, by nie osunął się mur, mocno wiekiem osłabiony. Wnętrze bardzo skromne. Obok kościoła cmentarz. Tuż obok plebania.

To co mi się najwięcej w Goraju podoba, to bzy otaczające całą plebanie i część cmentarza kościelnego. Jest przepięknie. Powietrze przesycone zapachem wiośni. Z jaką przyjemnością zostałam w Goraju choć kilka dni wśród tych bżów i ciszy wiejskiej, gdyby nie to biuro w Gorzowie, do którego człowiek sznurkiem przywiązany.

Odpust udał się nadzwyczajnie. Narodu było pełno w kościele aż trzeszczało. Lud śpiewał pełną piersią. Sumę celebrował zaproszony ks. prefekt z Międzyochodu. (Goraj leży na granicy gorzowskiej i poznańskiej diecezji). Kazanie wygłosił jeden z księży z Gorzowa.

Naród był zadowolony z odpustu. Widać to było wyraźnie.

Procesja z Najświętszym Sakramentem wypadła wspaniale. Słońce rozświetliło się w potęgę południowych jasności, dziewczęta w białe sypały kwiaty. Kapłan pod baldachimem nioś Jezusa-Hostię, błogosławiacego wierny lud. (G)

Kościół i świat

— **Hierarchia kościelna w Afryce Południowej.** Dekretem Świętej Kongregacji Obrzędów Wiary, noszącym datę 11 stycznia 1951 r., Ojciec św. Pius XII powołał do życia normalną hierarchię kościelną w Afryce Południowej na terenach dotychczas misyjnych.

— **Pierwszy Kongres Eucharystyczny na Złotym Wybrzeżu.** W mieście Kumassi na Złotym Wybrzeżu odbyły się w połowie lutego b. r. wielkie uroczystości katolickie związane z zorganizowanym tam pierwszym misyjnym kongresem Eucharystycznym obywateli Afryki Zachodniej. W uroczystości wzięło udział 3 arcybiskupów, 7 biskupów, 5 wikariuszów apostolskich oraz około 50 tysięcy wiernych. Miejscowa katedra i wszystkie inne kościoły były w czasie uroczystości przepełnione. Jak wynika z danych statystycznych ostatniego roku, Złote Wybrzeże liczy dziś 313 tys. katolików oraz 60 tys. katechumenów przygotowujących się do przyjęcia Chrztu św. na ogólną liczbę około 2 milionów mieszkańców. Pierwszy misjonarz katolicki przybył tu przed 70 laty. Papież Leon XIII ustanowił w roku 1901 pierwszy wikariat apostolski. Ojciec św. Pius XII podniósł w ubiegłym roku wikariat tamtejsze do rzędu diecezji.

— **W Rzymie otrzymał sakrę biskupią ks. Hoan Van Doan,** tubylec z Wietnamu. Jest to już siódmy biskup spośród tamtejszej ludności. Biskup Doan ma lat 33; chełmuje diecezję Bac Ninh.

— **Kapłan malarzem.** Jeden z tygodników włoskich poświęca dłuższy artykuł działalności artystycznej ks. Angelo Rescali, który od czterdziestu lat wszystkie wolne od pracy duszpasterskiej chwile poświęca malarstwu. Jego krajoznawstwa są bardzo cenione. Są pełne wyrazu i prawdy.

— **Katolickie seminaria duchowne w Japonii.** Studia teologiczne w centralnym seminarium duchownym w Tokio ukończyło w bieżącym roku 21 kleryków katolickich. Ogółem od założenia tej uczelni mury jej opuściło 130 teologów. W seminarium katolickim na wyspie Kiu-Siu kończy w tym roku studia 80 wychowanków.



R. J. Z wizytacji J. E. Ks. Arcybisk. W. Dymka.

— Jan! I ruszył ku niemu. Kosę wbił sztorcem w ziemię, rozkrzyżował szeroko ramiona.

Ściskali się serdecznie, mocnym, chłop-skim uściskiem. Jan chichotał rozgadany z kawatu, jaki wypłatał.

Obaj nie posiadali się z radości. Potem Jan witał się z pozostałymi. Ze stryjem z trzecim zniwiarzem, w którym teraz dopiero rozpoznał syna kowala, z jego siostrą. Nie znał tu tylko tej dziewczyny, która przed chwilą pomogła mu tak sprytnie. Ładna była. Jasne włosy zwinięte na tył głowy w grube warkocz okalały jej młodą, błyszczącą teraz od potu twarz. Z za czerwonych warg świeciły równym szeregiem białe zęby.

Józef przedstawiał:

— Antosia, wiesz, od Zwolików, moja narzeczona.

Antosia od Zwolików? Tak urosła? Pamiętała dziewczynę, jak jeszcze koszulę w zębach nosiła.

Pogwarzyli jeszcze trochę, potem znów stanęli do roboty. W cztery kosy szło im o wiele szybciej. Dziewczęta musiały teraz zwinąć się na całego, aby nadążyć za nimi z wiązaniem snopów.

Dopiero gdy usiedli pod krzakiem, aby spożyć przyniesiony obiad, rozwiązały się im języki na całego. Jan opowiadał o mieście, o wspaniałym tempie rozrostu Warszawy, o tym, że został przodowikiem pracy, że kończy kurs techniczny, zostanie majstrem, technikiem. Józef dzielił się z nim nowinami wiejskimi.

Mówiły i dziewczęta. Jan patrzył na twarz przysiężonej żony brata, słuchał jej i coraz bardziej pochwalał wybór Józefa.

Potem pracowali do wieczora. Zagon zboża jeszcze niezciętego mlała szybko.

Dziewczęta przysiadły jeszcze na miedzy i plotły jakieś girlandy, układały kwiaty w bukiety. Palce ich poruszały się szybko i sprawnie.

Jan patrzył przez chwilę, nie rozumiejąc celu ich pracy. Przecież jeszcze nie doży-

ki, więc po co te bukiety i wianki. Ale potem się domyślił.

I rzeczywiście. Nie poszli od razu w stronę wioski, ale zawrócili jeszcze kawałek w stronę owego zmuszającego nieco krzyża. Dziewczęta owiwały drzewo girlandą, rozosiły kwiecie u podnóża.

Przyklekli potem wszyscy na chwilę, zmówili modlitwę. Stryj, gdy podnosił się z klęczek, powiedział krótko:

— Zniwa, złoty, życiodajny czas. Kiedyż, jak nie teraz, najbardziej Bogu za Jego dary dziękować?

Wytańczyli.

A potem wracali ciężkim, spracowanym krokiem do domów. Twarze ich były radosne, przepełnione uśmiechem spełnionego zadania.

Dziewczęta zanuciły popularną piosenkę.

Złotka zaczynało się zmierzchać. Od rzeczki i stawów zarechotały gwarnym chórem żaby. Skądś zaterkotał derkacz. Nad rojstami podnosiła się mgła.

Wies szumiała jak ul.

Ale zaraz potem ucichło wszystko — jutro też czekała ciężka praca. Trzeba było się do niej nabrać.

Jan tylko długo nie mógł usnąć. Myślał o tym, jak dobrze zrobił, wybierając się na urlop właśnie na wieś, w dodatku jeszcze na wieś rodzinną. Tutaj najlepiej wypocznie, nabierze nowych sił do dalszej pracy...

Na liczne zapytania P. T. Czytelników „Tygodnika Katolickiego” donosimy, że przedpłatę za pismo nasze przyjmuje tylko P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8—9, P. K. O. V-11831 110. Tamże należy także zwracać się z reklamacjami o niedostarczone numery.

ADMINISTRACJA.

Wizytacja JE. Arcybiskupa Walentego Dymka w Kościanie

W dniu 15. VI. 51 przyjechał do Kościana J. E. Arcybiskup Walenty Dymek, gdzie był witany przez okolicznych parafian oraz duchowieństwo z ks. dziekanem Tomaszem Sworowskim na czele. Następnego dnia Dostojny Gość odprawił Mszę św. podczas której rozdawał osobiście Komunię św. Po południu odbyła się uroczystość bierzowania dzieci, gdzie ponad 1000 dzieci przystąpiło do bierzowania. W niedzielę o godz. 9-tej Jego Ekscelencja odprawił uroczystą sumę w asyście ks. infułata pronotariusza apostolskiego Franciszka Marlewskiego oraz dostojników kościelnych ks. Prałatów z Poznania. Po południu Jego Ekscelencja w asyście duchowieństwa z ks. dziekanem Tomaszem Sworowskim zwiedził miasto Kościan i okolice, gdzie był serdecznie witany. Samo miasto przybrało odświętny wygląd, a niemilkące „niech żyje”, wielce urado-

wały i wzruszyły Jego Ekscelencję. To też wielce uradowało się serce Jego Ekscelencji a nie mniej ks. dziekana Tomasza Sworowskiego, który może być dumny ze swych parafian.

W poniedziałek po nabożeństwie J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita Walenty Dymek, żegnany serdecznie przez parafian kościelnych, bardzo wzruszony, opuścił miasto, udając się z powrotem do Poznania.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński. Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8—9. P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Wlkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 980 — 7. 51.

K-2 — 15223 — 30. 7. 51. Druk ukończono 1. 8. 51.